



Fot. Serge Sachno

EWA SKIBINSKA — aktorka Teatru Polskiego we Wrocławiu. W dorobku liczne role, teatralne, udział w filmach m.in. K. Kieślowskiego, R. Rowińskiego, M. Koterskiego. Główna rola Oli Watowej w filmie Roberta Glińskiego „Wszystko, co najważniejsze”. Na tegorocznym, XVII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych film ten zdobył główną nagrodę — Złote Lwy Gdańskie, oraz Nagrodę Dziennikarzy, za dźwięk i za zdjęcia.

— Chciałbym pogratulować sukcesu. Jak może on wpłynąć na pani dalszą karierę?

— Dziękuję. Trzeba przyznać, że czuję się dość mocno związana z tym sukcesem. Była to znaczna rola, tak różna od tego co do tej pory grałam. Rola została już zauważona, była dyskutowana — w kręgach jury i publiczności, w środowisku, mam więc nadzieję, że zaowocuje ciekawymi propozycjami.

— Jak się pani do niej przygotowywała?

— Początkowo miałam bardzo ogólne wyobrażenie o losach rodziny Watów. Potem, gdy przeczytałam scenariusz,

wspomnienia Wata i Watowej — zrozumiałam, że będzie mi dane przeżyć coś wielkiego, zmierzyć się z piękną literaturą. Ustaliliśmy z reżyserem, że przede wszystkim mam być podobna wewnątrz do Oli Watowej, jak ona być mocna psychicznie — kobieta z charakterem. Myśleliśmy też, jak ma ta Ola wyglądać, jak upodobnić mnie do Zydówki. Radziliśmy się więc fachowców — jedni mówili, że najważniejsze są uszy, drudzy, że nos, coś charakterystycznego w ustach, inni jeszcze — „coś” w oczach. A wszystko to byli stuprocentowi Żydzi! Ostatecznie jednak ważniejsza była dusza Watowej, jej życie wewnętrzne.

— A jak w ogóle doszło do współpracy z R. Glińskim?

— On mi nigdy nie zdradził tej tajemnicy — tak po prostu zadzwonił i zaprosił mnie na zdjęcia próbne. Gdy pytałam, czy to przez agencję, czy ktoś mu o mnie powiedział — stwierdził: No, wiedziałem, że jest taka Skibinska we Wrocławiu. I udało się, a konkurencja była duża!

— Czy w trakcie przygotowań do filmu doszło do spot-

kania z synem Aleksandra, Andrzejem Watem?

— Nie, spotkał mnie dopiero po obejrzeniu filmu, na warszawskim festiwalu. Wyłowił mnie z tłumy w foyer — mimo braku charakterystyki. Powiedział, że zapamiętał moje oczy, że w mojej roli przebija charakterystyczna kruchość i siła jego matki.

— R. Gliński mówił w wywiadach o trudnościach związanych z realizacją części filmu w Kazachstanie. Jakie są pani wspomnienia związane z tym krajem?

— W Kazachstanie kręciliśmy przez 2 miesiące i rzeczywiście chwilami było ciężko. Męczące były zdjęcia w stepie. Chodziliśmy z pieluchami na twarzach, bo wiatr wiskał piach we wszystkie możliwe miejsca. Do tego brud, wytrępywanie kostiumów z robactwa, niewyspanie. Były momenty, że byliśmy załamani, gdy np. okazało się, że z powodów technicznych trzeba powtórzyć cały tydzień zdjęć. Zmarłowany czas, nasza praca, pieniądze. Ale z tej zało-

to że im się płaci, to dla nich jeszcze nie jest wystarczający powód do pracy. Ale reżyserowi jakoś udało się ich przekonać i jest z tego słusznie dumny. Silny jest ich nacjonalizm — jak nie Kazach, to do zabicia. Ale są też ludzie z sercem, co podkreśla jeden z wątków filmu — bardzo przecież pomagali zesłańcom.

— Wróćmy jeszcze do samej realizacji filmu. Jaki jest styl pracy R. Glińskiego?

— To reżyser, który się mocno przygotowuje do każdego dnia zdjęciowego, woli wiedzieć wcześniej co będzie grane, jak, itd. Przed każdym dniem odbywała się wspólna narada, kiedy to było ustalane i wtedy był otwarty na wszelkie propozycje.

— Jakie tematy powinno obecnie poruszać polskie kino? Co byłoby oglądane w kraju i za granicą?

— Powinniśmy zajmować się sobą, ukazywać problemy, które są charakterystyczne, bliskie nam Polakom, ale je-

Z pieluchą na twarzy

by jakoś się wykaraskaliśmy. Były też momenty rozluźnienia, świetnie się bawiliśmy sami sobą, dostrzegając własne nieprzystosowanie. Zwycię w naszych warunkach nawyki i przyzwyczajenia — tam okazały się groteskowe. Ale dla mnie gorsze były zdjęcia w więzieniu w Almaty. Cela, w której kręciliśmy, była dopiero co uprzątnięta — dosłownie z odchodów. Szło się do niej przez wąski korytarz, a z obu stron wyciągali do nas ręce więźniowie. Zdarzało się, że słyszeliśmy też ich krzyki — po prostu byli bici. Więc tamten etap nie był taki najgorszy. Wierzę, że jego widok pomagał zesłańcom — pisał o tym zresztą Watowa. W stepie jest pięknie i ciężko — ten piach, brud i skorpiony, ale i stada dzikich koni i przestrzenie, które mają w sobie coś magicznego.

— A sprawa zderzenia kultur, którą porusza także film. Jak pani to odbierała?

— Kazachstan to w miarę normalny kraj, tyle że biedny. Kolejki, puste sklepy — coś, o czym zdążyliśmy już w Polsce zapomnieć. Ciężka była praca z kazachską ekipą — oni nie grzeszą pracowitością,

dnocześnie uniwersalne i cytowane dla innych. Taki jest nasz film. Tego potrzebuje też Zachód.

— Jeszcze na koniec o pani upodobaniach, marzeniach. U którego reżysera chciałaby pani zagrać?

— Oj, u wielu. Np. u Marcina Zielińskiego, Davida Lyncha i Bergmana — to fenomenalny reżyser.

— Ulubiona, bliska aktorka?

— Jest ich wiele, ale przede wszystkim Meryl Streep.

— A aktor?

— Czy pan jest aktorem?

— Nie.

— Szkoda.

— Jakie są pani plany na przyszłość?

— Przede mną dużo pracy w teatrze, w telewizji, a w kinie to taka cisza przed burzą — mam nadzieję. Nie zdradzę nic konkretnego. Zobaczymy.

— Dziękuję.

Rozmawiał
MARCIN MESZCZYŃSKI